

Jędrecki A. Marek

Nauka i pseudonauka (czyli marny towar, ale w pięknym opakowaniu)

W latach osiemdziesiątych udało mi się opublikować tekst na temat pseudonauki.

Z uwagi na własne starania o otwarcie przewodu doktorskiego, opublikowałem artykuł pod pseudonimem. Dzisiaj właściwie należałoby zrobić to samo, bo sfera pseudonauki (mowa o naukach społecznych) wcale nie zważyła się - a wprost przeciwnie. Jest to jednak tak jak z pieniądzem - gorszy pieniądz zawsze wypiera lepszy. Wskutek powszechnej dostępności wiedzy i wykształcenia, automatycznie spada jej poziom (rozkład zbliżony do krzywej Gaussa - najliczniejsze są wartości przeciętne - także w zakresie poziomemu intelektu). Dlatego też tamten tekst zyskał tylko na aktualności.

Jedną z funkcji nauki jest poznawanie rzeczywistości w możliwie najdokładniejszy sposób. Stąd też w zależności od dyscypliny naukowej informacje naukowe o rzeczywistości są mniej lub bardziej szczegółowe.

Stany otoczenia mogą być różne. W różny też sposób stan otoczenia możemy oddawać. Co ciekawe - jednym z "najsilniejszych" środków informacji o stanach otoczenia jest... muzyka. Wprawdzie przy jej pomocy nie sposób niczego konkretnie wyrazić, ale stanowi ona najsilniejszy środek wywoływania nastrojów.

Na drugim miejscu po muzyce znajdują się kolory i kształty. Ich znaczenie nastrojotwórcze wynika głównie z powszechności - całe nasze otoczenie posiada jakiś kształt i kolor.

Dopiero na trzecim miejscu można postawić język. Stanowi on potężny nośnik informacji, bardzo nawet szczegółowych. Toteż ma on coraz większe znaczenie w miarę coraz dokładniejszego poznawania rzeczywistości. Stąd i podstawowa rola języka w działalności naukowej.

Wywoływanie nastrojów środkami językowymi polega na doborze słów i zdań określonego typu. Procedura ta służy wymuszaniu nastroju naukowości, co ma służyć niemal z reguły jako zasłona dymna przed zbytnim wnikaniem czytającego w słuszność wypowiedzianych poglądów.

Sztuczne wywoływanie nastrojów - chroniących skutecznie przed zdrowym rozsądkiem - nie jest bynajmniej domeną pseudonauki. Najszerzej - i chyba najdawniej - sposób ten stosowany był w rozmaitych religiach i doktrynach filozoficznych. Trudno się zaiste temu dziwić, gdyż twierdzenia teologiczne i filozoficzne nie posiadają żadnych dowodów w sensie naukowym, a dowód ma zastępować "wiara". Zaś dla użytych w nich terminów brak adekwatnych definicji. Jest więc zrozumiałe, że istnieje wówczas potrzeba wytworzenia tak silnych nastrojów, żeby wiernych nie wzięła chęć ściślejszych dociekań.

Podstawowym środkiem, wiodącym do tego celu, jest rygorizm terminologiczny (nie mylić z definicyjnym). W terminologii nie wolno tam nic zmieniać. Ma to tę zaletę, że po stuleciach sprawia ona wrażenie staroświeckiej, zyskując znaczenie nastrojotwórcze (nastroj dostojności, odwiecznej słuszności). Aby uniknąć zarzutu eklektyzmu, trzeba się trzymać tych samych słów, a cóż dopiero poglądów.

Najjaskrawszym przykładem takiego podejścia jest np. w naukach społecznych trzymanie się przez psychologów terminu "osobowość", choć nikt w naukowo ścisły sposób nie dowiódł, że coś takiego w ogóle istnieje, a nie jest to tylko artefakt. I właśnie termin - jedynie - jest wspólny rozmaitym tzw. "szkołom psychologicznym". Jeśli ktoś nie wierzy, wystarczy zajrzeć do paru podręczników psychologicznych. Psychologia nie stanowi tu wcale wyjątku. Podobnie jest z pedagogiką, socjologią, filozofią, czy takimi użytecznymi dziedzinami, jak np. ...marketing (którego jedna z definicji mówi, że "marketing jest wszystkim").

Dodajmy do tego, że metodę blokowania umysłów nazbyt dociekliwych umysłów środkami terminologicznymi przejęły i stosują do dziś również rozmaite doktryny polityczne (stąd i łatwość zarzucenia później dociekliwym "rewizjonizmu", choćby i nikt nie wiedział, na czym niby powinien on polegać, aby było to prawdą). Do środków językowych zwalczania przeciwników pseudonauka stosuje "od zawsze" metodę etykietowania. Oto podstawowy zestaw "etykietek":

- "niczego nie zmieniamy" - "konserwatyzm",
- "dokonajmy gruntownych zmian" - "reformizm",
- "postępujemy jednolicie" - "schematyzm",
- "uwzględniamy różne poglądy" - "eklektyzm",
- "traktujemy wszystkich jednakowo" - "egalitaryzm",
- "wyróżniamy uzdolnionych" - "elitaryzm".

W tak prosty sposób można się rozprawiać z poglądami "dociekliwych" - poprzez nadawanie "etykietek", czyli nazw mających oznaczać kompromitację, a stąd już prosta droga do potępienia. W metodzie tej w Polsce - oprócz pseudonaukowców - celują... politycy ugrupowań prawicowych (im większe zaangażowanie religijne - tym więcej "etykietek" pod adresem przeciwników politycznych, co zrozumiałe przy chęci rozprawienia się z przeciwnikami doktryn religijnych).

Także nauka posługuje się środkami językowymi dla wywołania określonego nastroju. Chodzi tu o tzw. styl naukowy. Sprawa ta ma dość głębokie i uzasadnione przyczyny.

Otóż, gdy głównie w XIX w. rozpoczęła się fala wielkich odkryć naukowych - co zapoczątkowało jej rozwój - wzrosło zapotrzebowanie na rozpracowywanie szczegółów, będących konsekwencją i kontynuacją owych odkryć. To z kolei było niezbędne dla praktycznego ich wykorzystania.

W rezultacie w cieniu wielkich uczonych, odkrywców rosła też liczebnie rzesza ludzi pracujących jedynie w zawodzie naukowca. Zaś ich działalność polegała na rozwiązywaniu konkretnych zadań o typie naukowym. W masie szczegółów, opracowywanych w wielu nowych specjalnościach przez wielu uczonych, którzy kontaktowali się głównie przy pomocy różnorodnych publikacji - zaczęły powstawać trudności w porozumiewaniu się. Zwalczanie tych trudności wymagało tworzenia nowych

terminów, zaopatrywania ich w ścisłe - możliwie - definicje. Konieczne też stało się takie formułowanie zdań, aby stwarzało to możliwość ścisłego, precyzyjnego rozróżniania. Bez tego czyhało na naukowców niebezpieczeństwo mieszania pojęć (jak to się dzieje do dziś w naukach społecznych, humanistycznych). To jednakże prowadziło nieuchronnie do powstania stylu sztywnego, schematycznego, sformalizowanego, w którym żadne urozmaicające synonimy są niedopuszczalne, aby uniknąć nieporozumień (tym, którzy takie urozmaicenia jednak wprowadzają, pseudonaukowcy przylepiają etykietkę "kolokwializmu").

Styl naukowy mocno się wyodrębnił, wprowadzając studenta, osobę czytającą w nastrój naukowości. Aby się o tym przekonać, wystarczy otworzyć na dowolnej stronie dowolny podręcznik z zakresu nauki.

Styl ten doprowadził jednakże - choć niezamierzenie - do powstania stylu pseudonaukowego.

Jest rzeczą oczywistą i zrozumiałą, że i więcej osób pracuje w zawodzie naukowca, tym więcej musi trafiać się wśród nich takich, którzy do nauki nie mają żadnych predylekcji. Mimo to nie odchodzą z tego zawodu - czemu także trudno się dziwić - bo zawód wybiera się na całe życie i po to, żeby na nie zarabiać.

Aby jednakże w swoim (i nie tylko) środowisku uchodzić ciągle za naukowców - do czego ze względu na treść swoich publikacji mieliby tytuł raczej wątpliwy - muszą naukowość podkreślać nie treścią, lecz stylem naukowym publikacji. A analogicznie zresztą ma to miejsce w handlu, gdzie - czasami - marny towar podaje się w pięknym opakowaniu. Nie byłoby rzeczą trudną wskazanie nawet nie setek a tysięcy publikacji "naukowych", które zawierają treści znane od czasu kamiennych tablic Mojżesza. Jest to tylko czynienie jałowych rozróżnień na zasadzie dzielenia włosa na czworo. Wszystko to jednak podane jest w owym opakowaniu pseudonaukowym: cytatów z dzieł luminarzy nauki (które mają zastąpić naukowe dowody), a także odsyłaczy do obszernej bibliografii, mającej wzbudzić szacunek dla wiedzy autora. Celują w tym, niestety, humaniści, w pracach których nie dość, że nie ma niczego nowego, to prawie połowa pracy stanowi bibliografię (jak w biurokracji - dużo dobrych "podkładek" to już połowa sukcesu).

Nie byłby to problem, gdyby tylko chodziło o stwierdzenie, że przecież w każdej dziedzinie działalności ludzkiej oprócz ziarna znaleźć można i plewy. Chodzi jednak o coś jeszcze.

W przeciwieństwie do literatury pięknej, w nauce żaden autor nie pisze - wbrew pozorom - w pojedynkę.

Przez tysiąclecia dokonano tylu odkryć, że każdy naukowiec jest w jakimś stopniu kontynuatorem tychże. Musi więc nawiązywać do nich, przypominać odkrycia, do których pragnie wnieść coś nowego. Musi także powoływać się imiennie na poprzedników, by nie być posądzonym o przypisywanie sobie ich zasług. W sumie - nawet bardzo twórcze dzieło zawiera w dużym zakresie myśli nieoryginalne, odsyłacze, terminologię poprzedników, cytaty, szyk zdań z zastanej literatury. W ten sposób nawet oryginalny naukowiec musi robić to samo, co charakteryzuje pseudonaukowców. Musi, bo w przeciwnym razie grozi mu zarzut, że uprawia "publicystyczkę". Na to zaś nie może sobie pozwolić żaden młody naukowiec, wspinający się dopiero po drabinie kariery zawodowej. Ciąg dalszy i przebieg tej kariery zależy od opinii, jaka utrwali się o nim wśród innych naukowców, wśród których większość stanowią - z przyczyn opisanych wcześniej - właśnie pseudonaukowcy. Jest to sytuacja jak z talii kart - figury muszą upodobnić się do blotek, aby przeżyć zawodowo. Z wierzchu wszystkie karty są jednakowe. Tym wierzchem jest właśnie styl naukowy, który mając wiele ułatwiać, zaczął zasadniczo utrudniać identyfikację. Tylko dzięki powszechnemu kultowi pseudonaukowości możliwe

jest powstawanie opastych - najczęściej kilkusetstronicowych - tomisk, których autorzy nie wnoszą nic nowego, a których zasadniczą treść stanowi zestawienie cudzych poglądów, grupowanie ich, rozróżnianie i porównywanie.

Powie ktoś logicznie myślący, że jest przecież prosta rada. Niechże zatem każdy autor publikacji naukowej wskaże jego własny wkład do nauki. Taka rada byłaby jednakże w nauce nierealna. Pseudonaukowcy wymyślili skuteczne antidotum na takie pomysły. Do stylu pseudonaukowego należy bezosobowy sposób mówienia. Widoczny jest on w takich wyrażeniach, jak: "jak się wydaje", "można przyjąć", "jak widzimy", "jest wątpliwe" itp. Używanie formy "ja", "moim zdaniem", "wątpię", "udowodniłem" itd. - uchodzi wręcz za nietakt, zarozumiałość i samochwalstwo. Nawyk ten jest tak silny, że stylem tym posługuje się wielu naprawdę wspaniałych naukowców, aby w ten sposób sprostać wymaganiom rozmaitych pseudonaukowców, tkwiących w radach "naukowych" wielu czasopism nie tylko naukowych, ale i popularnonaukowych.

Warto odnotować, że i tutaj jednak widać pewne próby dokonywania wyłomu. Zapowiedzią było "Prawo Parkinsona". Pojawiają się publikacje zrywające całkowicie ze stylem pseudonaukowym, specjalną terminologią, sztuczną strukturą zdań, podpieraniem się autorytetami klasyków. U nas jednak trzeba by gratulować takiemu autorowi odwagi i współczuć z powodu naiwności. Na stosowanie prostego, zrozumiałego języka pozwolić sobie mogą jedynie wielcy (np.: J. Aleksandrowicz, T. Kotarbiński, M. Mazur, Sz. Pieniążek). Chciałbym kiedyś przeczytać teksty jasne, zwarte, logiczne, nie nadymane i pozbawione pseudonaukowego bełkotu, a napisane przez pedagogów, socjologów, psychologów, filozofów, czy choćby - specjalistów od marketingu. W tych dziedzinach jest to jednak szczególnie trudne, bo właśnie tu pseudonauka ma swoje siedlisko. Przy braku zachowywania rygorów metodologicznych roi się od prac pseudonaukowych, nie służących niczemu innemu jak tylko pomnażaniu "dorobku" owych pseudonaukowców. A swoją drogą - w dotychczasowej strukturze nauki, silnie strzeżonej przez owych pseudonaukowców - jak znaleźć inny sposób uzyskania np. doktoratu, kiedy jednym z warunków wstępnych jest posiadanie publikacji w ogóle, a nie publikacji stojących na wysokim poziomie. Nie może być inaczej w sytuacji, gdy trzeba pisać "pod promotora", który ma swoje poglądy na naukę i należy do szerokiego grona pseudonaukowców, wyrobników nauki - także chcących utrzymać się na powierzchni (również, a nawet przede wszystkim, kosztem naukowego "skracania o głowę" wszystkich tych, którzy są po prostu lepsi, ale zależni od "Mistrza").

Tego typu sytuacja jest zabójcza dla nauki, albowiem lawinowo tworzone są coraz gorsze kadry naukowe. Wszyscy ci pseudonaukowcy wpuszczają jedynie do nauki jeszcze gorszych od siebie, a ci - jeszcze gorszych. Najostrzej jest to widoczne w rozmaitych instytutach "naukowych" i uczelniach humanistycznych. W dodatku - cała struktura nauki jest jednym wielkim biurokratycznym urzędem, gdzie paradoksalnie naukowcy nie mogliby pracować bez administracyjnego zaplecza i obsługi, a administracja - owszem. Zawsze też miałyby tyle zajęć, że bez końca mnożyłaby etaty.

W sumie chcąc krótko określić sytuację w dziedzinie nauki i pseudonauki, można powiedzieć tak: mamy najlepszych naukowców na świecie - i wszystkich za granicą. Co zaś się tyczy pseudonaukowców, to im akurat "muzyka w tańcu nie przeszkadza". Sytuację tę zaczyna weryfikować rynek. Prawdziwi uczeni mają szansę umrzeć z głodu, zaś na rynku zaczną brylować rozmaitej maści hochsztaplerzy, z teoryjkami przywleczonymi z zagranicy, bo przecież sami nie są zdolni do twórczego wysiłku, do którego - jak wszędzie - trzeba posiadać predyspozycje.